

J E R Z Y

EDIGEY



OPERACJA
WOLFRAM

J E R Z Y

EDIGEY



OPERACJA
WOLFRAM

Jerzy Edigey

Operacja Wolfram

Saga

Operacja Wolfram

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1985, 2022 Jerzy Edigey i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049761

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Rozdział I

Anton Miller przybywa do Kapsztadu

Taksówka jadąca Adderley Street tylko z trudem przeciskała się pomiędzy innymi wozami. O tej porze główna ulica Kapsztadu przepełniona była zarówno samochodami na jezdni, jak i pieszymi na chodnikach. Wreszcie kierowcy samochodu „only White” udało się wydostać na ostatni, prawy pas jezdni i zatrzymać wóz przed hotelem „Intercontinental”. Zaraz do auta podbiegł portier w liberii i z niskim ukłonem otworzył drzwi.

Z samochodu wysiadł mężczyzna około pięćdziesiątki. Wysoki, postawny, choć może przydałoby mu się zrzucić kilka kilogramów nadwagi. Wiadomo, w tym wieku trudno się ustrzec tendencji do tycia. Jasny blondyn o niebieskich oczach i rysach, godnych zachwytu rasisty spod znaku Himmlera, był typem człowieka, za którym, jeśli kobieta nie szaleje, to w każdym bądź razie spogląda z zainteresowaniem. Nawet szpakowate włosy i duża blizna biegnąca wzdłuż całego lewego policzka nie szpeciły tej twarzy. Mężczyzna miał na sobie nienagannie uszyty jasnopopielaty garnitur, do tego granatową koszulę i biały miękki krawat, zaś na nogach eleganckie buty z miękkiej plecionej skóry. W ręku, jak przystało na biznesmena, trzymał czarną teczkę — walizeczkę ze złożonymi zameczkami.

Kierowca wyjął z bagażnika dużą, skórzaną walizkę zapinaną na dwa pasy. Walizka nie była nowa, ale także niezbyt zniszczona, akurat taka jaką powinien mieć

gentleman, często podróżujący w rozlicznych interesach. Przyjezdny uregulował należność za przejazd i jeszcze dorzucił szoferowi hojny napiwek, tak że kierowca aż się zgiął w dziękczynnym ukłonie. Nie co dzień zdarza się, żeby taksówkarz dostawał pięć randów napiwku za przywiezienie kogoś z portu do śródmieścia.

— Moje nazwisko Anton Miller — wyjaśnił nowo przybyły kierownikowi hotelowej recepcji — zamówiłem u was pokój.

— Zaraz sprawdzę — pracownik hotelu sięgnął po listę rezerwacji. — Tak jest, mamy zamówienie szanownego pana — bystre oko recepcjonisty dostrzegło maleńki znaczek na stojącej na dywanie walizie gościa. Międzynarodowy kod informujący, że właściciel takiej walizki nie robi drobnych oszczędności na napiwkach. Toteż recepcjonista od razu zaczął gościa traktować dużo grzeczniej niż przeciętnych Afrykanerów, którzy obracają każdego randa dziesięć razy, zanim wreszcie zdecydują się puścić go w ruch, a o wynagrodzeniu służby hotelowej zawsze w porę zapominają. Tak się śpieszą z odjazdem, że nie pozostaje im paru sekund na sięgnięcie do kieszeni. Naturalnie recepcjonista nie mógł wiedzieć, że ten znaczek postawiony był własną ręką przystojnego przyjezdnego.

— Oto mój paszport — powiedział pan Miller kładąc na ladzie dokument z białym krzyżem na czerwonym polu. Paszport również nie był zbyt nowy i zaopatrzony w całą kolekcję najrozmaitszych wiz, w tym naturalnie także i wizę Republiki Południowej Afryki. Tylko ta jedna zresztą była prawdziwa. Sam dokument był znakomity — dużo lepszy niż oryginalny. Kosztował drogo, ale na takie rzeczy Anton Miller nie zwykł nigdy żałować pieniędzy.

— Zarezerwowaliśmy dla szanownego pana — wyjaśnił recepcjonista — ładny, duży pokój na dziewiątym piętrze. Okna wychodzą wprawdzie na dziedziniec, ale z daleka widać morze, z tej strony jest dużo ciszej niż od ulicy i upał

nie będzie tak panu dokuczał. Jest przecież koniec listopada, wchodzimy w najgorętszą porę roku.

— Upałów się nie boję. Wiele lat spędziłem w Nigerii, w Zairze i innych państwach tropiku — pan Miller miał zasadę, aby nigdy nie kłamać bez wyraźnej potrzeby. Co zresztą wcale nie znaczyło, że mówił całą prawdę. — Naturalnie, jeśli pan uważa, że to dobry pokój, biorę go bez zastrzeżeń.

— Na pewno będzie pan zadowolony. Wszyscy goście zawsze są zadowoleni z pobytu u nas. Zawsze też wracają do „Intercontinentalu”, kiedy następnym razem odwiedzają Kapsztad.

— Panu nie wypada inaczej mówić — roześmiał się przybyły — każda lizka swój ogonek chwali.

— Pan na długo do Kapsztadu?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że na dłużej i że będę tutaj częstym gościem. Jestem handlowcem. Właścicielem „Züricher Import-Export Gesellschaft m. B.H.” Mam nadzieję, że uda mi się tu zrobić parę transakcji korzystnych dla obu stron.

— Życzę panu powodzenia. Oto klucz do pokoju dziewięćset dwudziestego siódmego. Portier wniesie walizkę i wskaże drogę.

— Jeszcze jedno — zauważył Miller — muszę otworzyć tu rachunek w jakimś banku. Który jest najbliżej? Nie będę nosił przy sobie gotówki. Zresztą nie mam jej tak dużo. Tyle żeby starczyło na podróż i na drobne wydatki. Muszę też zrealizować czeki „Crédit Suisse”.

— Nic trudnego. Trzy domy dalej mieści się filia „Merca Bank”. To jeden z największych i najsolidniejszych południowoafrykańskich banków.

— Dziękuję bardzo za tak cenną informację.

W rękę pana Millera znalazła się nagle, jak wyczarowana z powietrza, dwudziestorandówka, która równie

błyskawicznie znikła w kieszeni recepcjonisty. Za to jego szacunek dla nowego gościa jeszcze bardziej wzrósł. Drobne podarki umacniają przyjaźń, a odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, one właśnie najbardziej nadają się na takie prezenty.

Idąc za portierem niosącym walizę, Anton Miller dotarł do windy, która zawiozła ich na dziewiąte piętro. Tutaj, na korytarzu, spotkali pokojówkę. Młodą dziewczynę, tak około dwudziestu pięciu lat. Trudno ją byłoby nazwać piękną, ale była dość przystojna i bardzo zgrabna. Rudawe włosy i stosunkowo biała cera świadczyły najwyraźniej o jej holenderskich przodkach. Natomiast duże czarne oczy mówiły, że wśród tych przodków mogła zaplatać się kiedyś jakaś Hinduska. Przed wprowadzeniem apartheidu było to dość częste, zwłaszcza w prowincji Natal.

Pokojówka ubrana w normalny „mundur” tej branży — białą bluzeczkę, maleńki koronkowy fartuszek na czarnej spódnicy i takąż samą koronkową opaskę na rudawych włosach z zainteresowaniem oglądała nowego gościa. Kłaniając się, zapytała z miłym uśmiechem:

— Jaki numer?

— Dziewięćset dwadzieścia siedem — odpowiedział portier.

— Właśnie niedawno go przygotowałam.

— Dziękuję pani — tym razem odpowiedział Anton Miller.

Portier otworzył drzwi, umieścił walizę na stojaku i po zainkasowaniu dwóch randów bezszelestnie wycofał się z pokoju. Recepcjonista nie kłamał. Pokój, jak na pomieszczenia w nowoczesnym hotelu był dość duży i wygodny. Umeblowanie stereotypowe dla tego rodzaju lokali i dla tej klasy hotelu. Szeroki tapczan nakryty śnieżnobiałą pościelą. Po przeciwnej ścianie wygodna kanapa, dwa fotele i dwa krzesła. Biureczko, wysoka

stojąca lampa, podłoga wybita miękką, szarą wykładziną. Z małego korytarzyka wejście do łazienki. W tymże korytarzu duża szafa w ścianie, zaopatrzona w komplet szczotek i past do butów oraz, na wszelki wypadek, w poduszeczkę z igłami i niciami. Umeblowania pokoju dopełniał kolorowy telewizor philips oraz lodówka z całą kolekcją napojów alkoholowych i oziębiających.

Anton Miller podszedł do okna i szeroko je otworzył. Miał pod sobą dziewięć pięter z dość dużym podwórzem i z wjazdem do podziemnego garażu oraz rampą wyładowczą przed częścią restauracyjną hotelu. Mały trawnik z klombem pełnym kwiatów dopełniał całości. Ponad dachem sąsiedniego, niższego budynku, widać było dalekie wzgórza zabudowane willami tonącymi w ogrodach, a na lewo las dźwigów portowych i malutki skrawek ciemnoniebieskiego morza.

Patrząc na ten widok, nowo przybyły pełen był obaw i czarnych myśli. Całe życie, od momentu kiedy jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z domu rodzinnego, aby doń nigdy nie wrócić, przepełniała walka z losem o zdobycie znaczenia i pieniędzy. W tej walce mniej było zwycięstw, dużo więcej porażek. A lata płynęły. Teraz w tym nie znanym sobie Kapsztadzie Anton Miller doskonale zdawał sobie sprawę, że oto być może stoi przed ostatnią w życiu szansą niestoczenia się na margines, lecz złapania za jakąś szprychę toczącego się koła fortuny.

Ale jaką? Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Nie miał żadnej zdecydowanej koncepcji. Pieniądze z marsylskiego skoku stopniały. Sławna firma „Import-Export” istniała raczej na papierze, żeby wścibscy Szwajcarzy za bardzo nie zaglądali do papierów swojego rodaka i nie chcieli sprawdzać jego genealogii. Czekaloby ich wtedy wiele niespodzianek. Na szczęście żadna z takich myśli nie przyszła do głowy pracownikom szwajcarskiej policji.

Tyle wielkich interesów zawiodło. Łącznie z tak, zdawałoby się pewną, naftową fortuną w Biafrze. Zamiast milionów dolarów, Anton wyniósł z tej przygody zaledwie własną skórę i to mocno przedziurawioną jakąś murzyńską kulą żołnierza generała Gonowana. Zawiodł także Zair i na końcu buńczuczny premier Smuts z Rodezji, która teraz rządzona jest przez czarnych i nazywa się Zimbabwe.

Pozostała tylko Republika Południowej Afryki otoczona zewsząd morzem czarnych wrogów i podminowana wewnątrz tym samym czarnym niebezpieczeństwem. Ale mająca także złoto, diamenty, uran i inne wielkie bogactwa oraz ludzi zdecydowanych walczyć o posiadanie tego majątku. Walczyć choćby z całym światem. Nic więc dziwnego, że były uczestnik walk Francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Wietnamie i Algierii, a potem najemnik Biafry, Czombego i Kasawubu swoją ostatnią szansę widział w tym państwie, którego najbardziej na południe wysunięty cypel nazywa się Przylądkiem Dobrej Nadziei.

Na dalsze żołnierskie przygody i taką drogę do zrobienia fortuny Miller już nie liczył. Był na to i za stary, i już za mądry. Przekonał się, że Murzyni strzelają coraz celniej, a człowiek ma tylko jedno życie do stracenia. Niech w takie zabawy bawią się młodszy i głupszy. Takich nigdy nie zabraknie. On, zurichski businessman, chciałby tu nakręcić jakiś wielki interes. Niekoniecznie zresztą stuprocentowo uczciwy. Im coś stoi bliżej artykułów kodeksu karnego, tym bardziej jest popłatne. Cała sztuka polega na tym, aby nie dać się wplątać w dżunglę tych artykułów, albo umieć w porę zniknąć. To drugie, jak dotychczas, panu Millerowi zawsze się udawało.

Stojąc przed perspektywą, że w krótkim przeciągu czasu trzeba będzie zamknąć interes w Zurychu i zlikwidować puste konto bankowe, a co za tym idzie, zniknąć z tak spokojnej i wygodnej Szwajcarii, Anton postanowił

spróbować szczęścia gdzie indziej. Może jeszcze mógłby ciągnąć szwajcarską egzystencję przez rok lub półtora licząc, że zdarzy się cud i zuryska firma zacznie dawać dochody wystarczające na dość przyzwoite utrzymanie. Ale pan Miller w cuda nie wierzył. Przecież już przed tym zawiodły zdawałoby się tak pewne interesy, jak przemysł papierosów do Włoch czy też alkoholu do Szwecji. Zaś próby przewozu opium z Turcji do Paryża i do Frankfurtu skończyły się taką klęską, że trzeba się było cieszyć uratowaniem życia. W porównaniu z tym sukcesem, strata kilkudziesięciu tysięcy franków, i to tych dobrych szwajcarskich franków, była drobnostką.

Jako ostatnia szansa pozostała więc Republika Południowej Afryki. Były wprowadzić jeszcze inne możliwości. Prasa codziennie pisze o jakimś napadzie na bank i rabunku tysięcy marek, franków czy też dolarów. Ale po marsylskich doświadczeniach pan Miller z góry rezygnował z tej drogi zdobycia majątku, chociaż ludzi odważnych i chętnych do takiej roboty łatwo można znaleźć w każdym wielkim mieście. Za to trudno o takich, którzy na dodatek byłiby mądrzy i wiedzieli, że trzymany przez nich pistolet może wystrzelić jedynie w ostateczności, a zdobyty łup trzeba trzymać długo nie wydając centa, bo inaczej zaraz wpadnie się w ręce policji. Jeden wyrok — gilotyna i dwa po dwadzieścia lat więzienia, jakie zapadły w Marsylii, od razu ostudziły zapał pana Millera do tego rodzaju operacji. A przecież obliczona ona była ściśle, ze stoperem w rękę i zaplanowana wręcz genialnie. Zdawałoby się, że musi się udać. I udałaby się bez pudła, gdyby nie to, że szczeniak stojący „na świecy” na widok spokojnie krocącego patrolu policji, która tam się zjawiała zupełnie przypadkowo, wygarnął do idących z pistoletu. Na własne nieszczęście nie chybił. Jednego zabił, drugiego ciężko ranił. Sam przy tym dostał w nogi i pozostał na placu

boju. Dwu innym młodym ludziom, buszującym wewnątrz banku, udało się uciec wraz z milionem sześciuset tysiącami franków. Anton Miller siedząc przy kierownicy skradzionego mercedesa dokonywał cudów zręczności zanim zmylili pogoń. Ale cóż z tego? Dwaj młodzi durnie w dwa tygodnie później dali się złapać w Bordeaux. Najwidoczniej umieli się poruszać wyłącznie w miastach portowych. Ujęto ich jedynie dlatego, że bez opamiętania szastali pieniędzmi. Skończyło się na tym, że po odzyskaniu zdrowia „strzelec” musiał się zapoznać praktycznie z działaniem gilotyny, zaś jego kumple z regulaminami francuskich więzień. A te regulaminy wcale nie są takie zabawne.

Pan Miller nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Z pół milionem franków wylądował w Szwajcarii i tam właśnie został Antonem Millerem, mieszkańcem Zurychu. Miasta, o którym wiedeńczycy twierdzą, że jest dużo smutniejsze i nudniejsze niż jakikolwiek z cmentarzy wiedeńskich. Na wszelki wypadek pan Miller gruntownie zmienił wygląd swojej twarzy. Jako syn byłego fryzjera, charakteryzatora w jednym z teatrów w Monachium, przez trzy lata, zanim prysnął z domu w szeroki świat, pomagał ojcu w tej robocie. Później nieraz przydały mu się te umiejętności. Zaangażowani do skoku ludzie nic o swoim bossie wprawdzie nie wiedzieli, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Od tamtej chwili noga Antona nie powstała we Francji.

Zdobyte pieniądze były zbyt małe, żeby wieść spokojny żywot bogatego rencisty. Zresztą taka egzystencja i tak marna sumka nie zadowalały ambicji świeżo upieczonego Szwajcara. Przejął od przyjaciela firmę handlową. Próbował robić najrozmaitsze interesy. Okazały się one dużo trudniejsze niż walki w dżunglach Wietnamu, Nigerii, czy też na algierskiej pustyni. Z biegiem czasu pan

Miller nabywał doświadczenia, ale pieniądze topniały z błyskawiczną szybkością.

Pozostała ostatnia szansa. Gra va banque w Republice Południowej Afryki. Nic więc dziwnego, że Anton Miller stojąc w oknie swojego kapsztadzkiego hotelu nie rozkoszował się panoramą wielkiego miasta. Patrzył nie na widoki rozciągające się przed nim, lecz z troską w przyszłość.

Rozdział II

Pokaż mi walizkę, powiem ci, kim jesteś

Niewesołe rozmyślania Antona Millera przerwało lekkie pukanie do drzwi. Stała w nich ta sama pokojówka, która tak bacznie przyglądała się nowemu gościowi na korytarzu.

— Przyszedłam rozpakować panu rzeczy.

— Proszę — Miller nie okazał zdziwienia, chociaż mimo wielu podróży po raz pierwszy zetknął się z taką usługą hotelową. To jednak dość proste. W wielkich, międzynarodowych hotelach, służba jest zazwyczaj na dwóch etatach. Tym oficjalnym i tym policji bezpieczeństwa. Odmowa nie miałaby najmniejszego sensu i tylko zaostriąłaby ciekawość wiadomych panów. A służba hotelowa zawsze może zrewidować rzeczy gościa w czasie jego nieobecności w numerze. Swoją drogą policja Republiki Południowej Afryki jest bardzo operatywna, skoro interesuje się cudzoziemcem.

— Poproszę klucze od walizki.

— Nigdy jej nie zamykam. Żadnych skarbów tam nie wożę.

Dziewczyna otworzyła skórzaną walizę i tak się pochyliła nad jej zawartością, że obserwujący ją mężczyzna mógł podziwiać zgrabne smukłe nogi na prawie całej ich długości. Były naprawdę bardzo ładne. Pokojówka знаła ich wartość i umiała je eksponować.

— Pan pierwszy raz w Kapsztadzie?

— W ogóle pierwszy raz w waszym kraju.

— Nie ma piękniejszego na świecie — zapewniła dziewczyna — ale trochę za dużo tych czarnuchów. Mamy z nimi sporo kłopotów.

Miller przezornie ani nie przytaknął, ani nie zaprzeczył.

— Pan na długo do nas?

— Jeszcze nie wiem. Może na kilka dni, może na dłużej.

— Turysta?

— Jestem handlowcem.

— Dużo biznesmenów przyjeżdża teraz do nas. Kapsztad stał się wielkim centrum handlowo-przemysłowym — dziewczyna zręcznie wypakowywała zawartość walizki i układała rzeczy na półkach ściennej szafy znajdującej się w małym korytarzyku. — Nazywam się Mary Strijdom. Przyjaciele mówią do mnie Marietjie.

— A ja będę mógł panią nazywać Marietjie?

— O! Byłabym ogromnie rada.

Rzeczy już zajęły miejsca na półkach, dwa garnitury znalazły się na wieszakach w szafie, dziewczyna jednak nie kwapiła się do wyjścia.

— Radzę panu przebrać się w to lekkie, jasne ubranie. Na dworze jest gorąco. I niech pan dzisiaj zbyt dużo nie chodzi, a także proszę nie pić alkoholu. Trzeba się przyzwyczaić do naszego klimatu. Zrobił pan skok z zimy prosto w upalny koniec wiosny. Pan bezpośrednio z Zurychu?

„Powiedziała »z Zurychu« — przemknęło Millerowi po głowie — a więc interesują się mną. Pokojówka otrzymała dokładne zlecenia od swoich mocodawców. Trzeba prowadzić tę grę i być bardzo ostrożnym”.

— Jechałem dwa dni — odpowiedział zgodnie z prawdą — bo zatrzymałem się w Egipcie. Z Zurychu nie ma bezpośredniego połączenia do Kapsztadu. A za rady bardzo pani dziękuję Marietjie. Postaram się do nich zastosować. Teraz trochę pospaceruję po mieście, a jutro

zajmę się nawiązywaniem kontaktów handlowych. Jestem właścicielem firmy handlowej w Zurychu. Oto mój adres, gdyby pani kiedykolwiek zawitała do naszego miasta — Miller podał dziewczynie swój bilet wizytowy.

— Dziękuję, ale na razie nie wybieram się do Europy.

— Gdyby jednak...

Dziewczyna schowała karteczkę do kieszonki fartuszka. Miller milczał. Chcąc nie chcąc, panna Strijdom zaczęła się zbierać do wyjścia. Ściereczką od kurzu strzepnęła jeszcze jakiś niewidoczny pyłek na biurku i stojąc we drzwiach dorzuciła:

— Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić. Mam służbę do dziesiątej, ale mogę zostać dłużej.

Była to niedwuznaczna oferta. Anton skwitował ją krótko:

— Dziękuję, Marietjie.

— Proszę dzwonić — powtórzyła pokojówka. — A na którą zamówić panu śniadanie do pokoju?

— Dziękuję. Wstaję zwykle o siódmej, ale wolę zjeść śniadanie na dole, a nie w pokoju.

— Jak pan sobie życzy.

Po odejściu dziewczyny Miller poważnie się zastanowił. Marietjie koniecznie chciała się znaleźć w jego łóżku. Jako mężczyzna nie miał nic przeciwko małej przygodzie ze zgrabną pokojówką. Ale to wszystko było dość niezwykle. Czyżby dziewczyna dorabiała sobie uprawianiem hotelowej prostytucji? To raczej wykluczone. Hotele z czterema gwiazdkami nie tolerują żadnej poufałości służby z gośćmi. Dziewczyna straciłaby natychmiast pracę. Zapewne działała według udzielonej jej instrukcji. Wiadomo, ważne wiadomości kobieta najłatwiej zdobywa w łóżku kochanka. Ale dlaczego tak się policja bezpieczeństwa interesuje skromną osobą Antona Millera? Co mogą o nim już wiedzieć i czego szukają? Wszystkie dokumenty ma we wzorowym porządku. Przez ostatnie lata

nie zajmował się niczym podejrzanym, jeśli nie liczyć tych drobnych prób z przemytem papierosów czy też zupełnie nieudaną operacją z tureckim opium. Może sprawa marsylska? Nie, to wprost niemożliwe! Gdyby wpadli na jego trop, Interpol zwinąłby go już dawno w Szwajcarii. A więc co? Przecież nie nagła miłość od pierwszego wejrzenia. W takie głupstwa Anton Miller nie wierzył od dawna. Umiał uwodzić kobiety, umiał się im podobać. Nieraz bardzo dużo im zawdzięczał, ale tutaj to wszystko szło za szybko i trochę zbyt nachalnie.

Skorzystał jednak z dobrych rad dziewczyny. Pozbył się swojego popielatego, dość ciepłego garnituru, wziął prysznic i w lekkim ubraniu z tropiku wyszedł na ulice Kapsztadu. Trochę spacerował starając się zapoznać z topografią miasta. Następnie kazał się obwieźć po Kapsztadzie taksówką. Na pewno nikt go nie śledził. Pod tym względem pan Miller miał dobre rozeznanie i każdego agenta policji rozpoznawał na pierwszy rzut oka. Długoletnia praktyka robi swoje. Kierowca taksówki, zadowolony z intratnego kursu, namówił swojego pasażera na odwiedzenie False Bay, którą reklamował jako najpiękniejszą plażę w całej Afryce. Tutaj pan Miller wstąpił do kawiarni, aby napić się mocnej kawy. Marietjie nie kłamała, zmiana klimatu zaczynała cudzoziemcowi dawać się we znaki. Głowa robiła się coraz cięższa, a krople potu coraz szybciej występowały na czoło. Zmęczenie podróżą także się potęgowało. Anton uznał zatem, że najlepiej zrobi wracając do hotelu. Na pokojówkę nie zadzwonił. Nawet ze względów fizjologicznych. A poza tym nie zwykł płacić za coś, co zawsze otrzymywał za darmo. Położył się wcześniej spać i obudził o świcie. Znowu czuł się znakomicie. Organizm szybko zaakceptował zmianę długości geograficznej i inny klimat. Najwidoczniej wiele lat przebywania w tropiku zahartowały jego ciało.

Nie wstawał jednak. Leżąc na wygodnym tapczanie rozmyślał, w którą stronę skierować pierwsze kroki? Postanowił, że odwiedzi kilka dużych firm handlowych i rozpocznie z nimi rozmowy jak najbardziej oficjalne. Trzeba zobaczyć, co z tego wyjdzie? Dopiero potem można będzie poruszyć bardziej ciekawe tematy, jak dostawy towarów objętych sankcjami gospodarczymi.

O siódmej godzinie rozległ się lekki chrobot klucza przekręcanego w zamku. Marietjie weszła, a raczej cichutko wśliznęła się do pokoju. Nie miała na sobie zwykłego stroju pokojówek, ale kolorową, dobrze uszytą sukieneczkę.

— Pan już nie śpi?

— Mówiłem, że wstaję zwykle o siódmej.

— Wczoraj pan nie zadzwonił. Czekałam — w głosie dziewczyny dźwięczał żal.

— Niczego nie potrzebowałem — roześmiał się Anton — trochę pospacerowałem po mieście i wcześniej położyłem się spać. Spałem jak zabity.

— To dobrze, że pan wypoczął. Teraz przygotuję panu kąpiel — dziewczyna znikła w drzwiach łazienki, skąd wkrótce rozległ się szum wody nalewanej do wanny.

— Kąpiel gotowa!

Miller wstał z tapczanu i przeszedł do łazienki. Chciał za sobą zamknąć drzwi, ale dziewczyna weszła za nim i podchodząc zupełnie blisko zaczęła rozpinać mu guziki od pidżamy.

— Ta wanna — szepnęła — jest tak duża, że zmieścimy się oboje.

Kiedy już uspokojeni, odpoczywali na tapczanie, Marietjie delikatnie głaszcząc ciało kochanka powiedziała:

— Od pierwszego momentu, kiedy zobaczyłam cię tam, na korytarzu, postanowiłam, że musisz być moim.

Tak bardzo mi się podobałeś. A ty niedobry, nie zadzwoniłeś. Straciliśmy jedną noc.

— Będziemy ich mieli jeszcze wiele przed sobą — roześmiał się Anton.

— Tylko nie myśl, że lecę na twoje pieniądze. Wiem, że nie jesteś bogaty.

— Co? — zdziwił się Miller.

— Nie jesteś bogaty — powtórzyła dziewczyna, chociaż chcesz za takiego uchodzić. Możesz udawać przed wszystkimi, ale nie przede mną.

— Tak myślisz?

— Rozpakowywałam twoje rzeczy. Masz ładne garnitury, ale to gotowa konfekcja, kupiona w jakiejś szwajcarskiej firmie. Bogaci ludzie nie tylko ubrania, ale także koszule szyją na zamówienie.

— Przesada.

— Koszule może nie wszyscy sobie szyją — zgodziła się Marietjie — ale ty masz ich po prostu za dużo.

— To źle? Przecież właśnie to świadczy o zamożności człowieka.

— Może o zamożności, ale nie o prawdziwym bogactwie. Milionerzy, jeżeli podróżują po krajach cywilizowanych, mają ze sobą najwyżej po jednej zmianie bielizny, po jednej parze skarpetek i... książeczkę czekową. Co im potrzeba, kupują w miejscowych sklepach. Wyjeżdżając, cały ten kram zostawiają w pokoju hotelowym, nawet gdyby mieli się przenieść do sąsiedniego miasta. Wyjątki robi się jedynie dla garniturów i obuwia. A także, jeżeli podróżuje się samochodem.

— Ciekawą masz filozofię.

— To nie filozofia, a po prostu doświadczenie. Podobasz mi się i jest mi wszystko jedno, kim jesteś. Możesz być nawet szczurem hotelowym.

— Tak źle ze mną nie jest.

— Ale musisz przyznać, że cię dobrze rozszyfrowałam.

— W pewnym stopniu — zgodził się Anton Miller — rzeczywiście, nie jestem jeszcze milionerem, ale po prostu solidnym, szwajcarskim biznesmenem. To przecież łatwo sprawdzić. Wystarczy, żeby ten, kto się tymi sprawami interesuje, zatelefonował pod numer mojej firmy w Zurychu. Albo tylko zajrzał do książeczki telefonicznej tego miasta. Chyba nie zgubiłaś mojej wizytówki? Zresztą mogę ci dać drugą.

Dziewczyna usiadła na tapczanie.

— Za kogo ty mnie masz!

— Za ładną, miłą babeczkę.

— Mylisz się. Wprawdzie policja nieraz żąda od nas rozmaitego rodzaju informacji o różnych ludziach mieszkających w naszym hotelu, ale ja takich wiadomości nie zdobywałam nigdy w łóżku. Kładę się tam z tymi, którzy, mi się podobają. A co do ciebie, jesteś chyba za małym pionkiem, żeby tak od razu się tobą zainteresowano. Jak będą chcieli, inaczej cię wypróbują.

Marietjie podniosła się z tapczanu, ale Anton prawie siłą ją zatrzymał, położył i znowu zaczął pieścić. Początkowo usiłowała się bronić. Ale krótko.

— Jestem głupia, bardzo głupia — szeptała — powinnam wyjść stąd natychmiast. Ale ty mi się tak podobasz, jak jeszcze nigdy nikt.

— Zaczynam ci wierzyć.

— Musisz. Skąd masz tę bliznę na prawym udzie?

— To nóż pewnego Murzyna w Zairze. Ale on już nie żyje.

— A te ślady ran na piersi?

— Pamiątka z Nigerii.

— Czerwona szrama na plecach?

— To stara historia. Wietnam.

— Z twojego ciała można się uczyć geografii — roześmiała się dziewczyna — masz także krechę

na policzku. To ci jednak nawet dodaje uroku.

— Jedynie wspomnienie z pewnej marynarskiej knajpy w Rotterdamie. Nic ważnego. Mała bójka po pijanemu i kastet, przed którym nie zdążyłem się uchylić. Zawadził mnie samym końcem żelaza.

— I tak ma wyglądać poważny szwajcarski biznesmen?

— Naprawdę nim jestem. Na starość ludzie usatkwują się i poważniają. Zaczynają rozumieć, że człowiek ma tylko jedno życie i że w końcu trzeba się wziąć za spokojniejsze i bardziej zyskowe interesy.

— Przyjechałeś szukać takich interesów w Kapsztadzie?

— Tak. Mam nadzieję, że je znajdę.

— Uprzedzam. Nie wdawaj się w kupno diamentów!

— Dlaczego? Czy handel diamentami może być gorszy od handlu na przykład ropą naftową?

— Firma de Beers ma monopol na eksploatację pól diamentowych i na handel tymi kamieniami.

— Ale na pewno istnieje czarny rynek?

— Murzyni pracujący w kopalniach, a także i biali, naturalnie starają się skraść co cenniejsze okazy diamentów. Niektórym to się udaje. Trudno jest ukraść, ale jeszcze trudniej sprzedać i wywieźć za granicę. Tu działają wspólnie koncern de Beers i policja.

— Diament łatwo ukryć.

— Poradzono sobie i z tym. Każdy podejrzany, a przede wszystkim każdy cudzoziemiec, którego można posądzić o chęć wzbogacenia się bez zgody de Beers, może oczekiwać wizyty ludzi, proponujących mu kupno diamentów po śmiesznie niskiej cenie. Ty chyba także doczekasz się takiej wizyty. Może Murzynów, może białych. Albo i białych, i Murzynów.

— Te diamenty są fałszywe?

— Są jak najprawdziwsze. I bardzo piękne w swoim gatunku. Jednakże w parę godzin czy nawet w parę minut